

WARSZAWA, ŚRODA 17 MAJA 1933 ROKU Nr. 37

# PŁOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY  
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



PIJCIE MLECZKO ZGODNIE



DO LODKI JUSTMANÓWNY W ŁODZI. Bardzo ładny napisałaś wierszyk, wzywający do pomagania biednym. Szczególnie następujący ustęp: „Nie cała dzieci gromada ciepłe odzienie na zimę posiada. Ale te właśnie dziatki, których nie pracują ojcowie i matki, nietylko pałta nie mają, lecz i głodem często przymierają. Więc im pomagajmy i bieliznę i odzież składajmy! Potrosze, a zbiorą się kosze. Za oszczędzone grosze kupmy im kajety i książki, a nie dla siebie jakieś krasne wstążki. Niech biednym również radość zaświeci, więc starajmy się im pomóc, dzieci!

DO STANISŁAWA JANCZEWSKIEGO W STAROSIELCACH. Dziękujemy Ci za opis uroczystości szkolnych. Co teraz u Was słychać? Czy planujecie też wiosny jakie wycieczki?

WANDZIA POPIŃSKA zamieszkała W WILCZYNIĘ KOŁO INOWROCŁAWIA, chciałaby korespondować z dziewczynką z oddziału VI-go, któraby mieszkała w górach. Może która z naszych czytelniczek z gór odezwie się do Wandzi? — A Ty, Wandziu, pozdrów od nas Henia, Zenia i Twą przyjaciółkę, Kasie.

DO DZIECI IV-GO I V-GO ODDZ. SZK. POWSZ. W WOLI KOSZUCKIEJ POD SŁUPCĄ. W imieniu dzieci, dla których zbieraliście 5 zł., serdecznie Wam za dobre Wasze serca dziękujemy. Jak się Wam powodzi w domu i w szkole?

DO EWY BORKOWSKIEJ WE LWOWIE. Zapewne oprócz „Płomyka” czytujesz i książki? Które ze znanych Ci dotychczas książek najlepiej lubisz?

DO HALINKI SAWOJSKIEJ W KĘPNIE. Ślizgawka się skończyła, na pływaniu jeszcze trochę za wcześnie. Jakich sportów używacie teraz?

DO KLASY V-A W SOBOCIE. Dużo było śmiechu i wesołości z Waszej „niespodzianki”, to też serdecznie Wam za nią dziękujemy! Któż to miał tak znakomity pomysł?

DO ALINKI WEINRIANKI W SANOCZU. O Twój dokładny adres, Alinko, prosi Halusia Latewcówna, która mieszka w Modlinie — port. Może do niej napiszesz?

DO ODDZ. V-GO SZK. POWSZ. W KOROLÓWCE. Widać z Waszego listu, jak Wam dobrze w szkole. Macie zapewne ogródek szkolny? Jeżeli tak, to co w nim hodujecie?

DO JANINY SZRENKÓWNY W DROHOBYCZU. Dziękujemy Ci za wierszyki. Co najlepiej Ci się podobało z opowiadań i wierszy w Płomyku?

DO REGINY WINIARKÓWNY W SIEDLCACH. Skąd wzięłaś tę komedijkę „O djable i babie”? Czy może sama przerobiłaś z bajki na komedijkę?

DO MIECIA SYDRY W POMIECHÓWKU. „Waldemar” to to samo, co „Włodzimierz”, a Włodzimierze obchodzą imienniny 16 stycznia. Tego roku już za późno, ale zato masz czas obmyśleć na rok 1934 ładny podarek i powinszowanie dla Twego przyjaciela Waldusia.

Dziękujemy za miłe listy, które nam przysłali: BASIA SADOWSKA, KL. IVB W BRZESZCZU, chłopcy z zakładu im. JACHOWICZA, MARYLA SOKALÓWNA, HANKA, KRYSIA, JUREK I WŁODEK Z GRUDZIADZA, REGINA MERDERÓWNA, CZESŁAW KLAMUT, ZOSIA PRZEDRZYMIRSKA, STAŚ BEDNAREK, SAMORZĄD SZKOŁY MISZEWO MUROWANE, UCZNIOWIE I UCZENNICE KL. IV-C W KOSINIE, UCZNIOWIE I UCZENNICE II-GO I III-GO ODDZ. SZK. POWSZ. W ZEMRZE, KL. IV SZK. ĆWICZEN PRZY SEM. ŻEŃSKIEM W TŁUSZCZU.



# PŁOMYK

## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

### PONAD SZCZYTEM ŚWIATA!

Niedawno jeszcze znano „tylko” dwanaście szczytów, niewątpliwie wyższych, aniżeli 8000 metrów. Dziś wiemy, że tych szczytów-olbrzymów w centralnej Azji jest ponad wszelką wątpliwość więcej, niż tuzin. Jednym z najwyższych, być może najwyższym szczytem świata jest Mount Everest w Himalajach, wysokości 8840 metrów.

Nie jest rzeczą łatwą dostać się na tak wysoki szczyt świata. Z wzrostem wysokości zmienia się znacznie gęstość powietrza. Coraz mniej w niem jest tlenu, którym oddychamy, a nasze płuca nie są przystosowane do pracy w niezwykłych warunkach górskich wysokości. Człowiek, znajdujący się na wysokości choćby tylko 5000 metrów, odczuwa już dziwną niechęć do dalszego wspinania się; gdy dociera wyżej, ponad 6000 metrów, każdy krok naprzód sprawia niesłychane trudności, a równocześnie zachodzi konieczność korzystania z aparatów pomocniczych, dostarczających tlen naszym płucom. Jak wielkie muszą być trudy, związane z wspinaniem się na bardzo wysokie góry, świadczy o tem fakt, że jeszcze nigdy stopa ludzka nie stanęła na żadnym z szczytów, sięgających powyżej 8000 metrów wysokości.

Mount Everest, uchodzący za najwyższą górę ziemi, od setki lat jest przedmiotem ataków doświadczonych alpinistów i taterników, to znaczy ludzi, którzy sił swych próbowali poprzednio w Alpach, Tatrach lub na innych łańcuchach wysokogórskich. Prawie każda wyprawa, która wyruszała na zdobycie Everestu, kończyła się smutnie śmiercią kilku lub choćby jednego z członków wyprawy. Ostatnio w zeszłym roku wyruszyła amerykańsko-niemiecka wyprawa z zamiarem zwyciężenia himalajskiego szczytu Nanga-Parbatu, liczącego 8170 metrów wysokości. Mimo wysiłków, ekspedycja powróciła z niczem.

Jeśli piesze wyprawy na szczyty górskie napotykały na wyjątkowe trudności, nasuwa się myśl zdobycia ich zapomocą samolotu. Aeroplany już kilkakrotnie docierały do granicy stratosfery, czyli do wysokości ponad 10.000 metrów, a więc należy uważać, że również lot ponad najwyższymi szczytami ziemi musi być możliwy. Rzeczywiście, na początku kwietnia bieżącego roku myśl ta doczekała się urzeczywistnienia. Czterech angielskich lotników dokonało w dwóch samolotach brawurowego lotu ponad Everestem i po trzech godzinach szczęśliwie wylądowało na lotnisku w Lalbalu, w prowincji indyjskiej Bihar.

bowiem z nudów zaśniesz pewnie,  
jak zdarzyło się królownie.  
Weź, kochanie, barwne nici,  
a może cię haft zachwyci,  
a potem poczytasz troszkę,  
zacerujesz swą pończoszkę  
i zabawki w swoim kątku  
doprowadzisz do porządku.

Rób coś tak, jak inne dzieci,  
może nuda cię odleci.

— Mnie bez pracy się nie nudzi,  
wcale nie rozumiem ludzi:  
każdy mnie do pracy wzywa,  
a ja jestem nieszczęśliwa.

Kiedy czarownicy żyli,  
było dużo, dużo milej:  
wypowiadałam swe pragnienia,  
a on mnie, w co chcę, zamienia.  
Dziś mogłabym być jaskółką,  
jutro kwiatkiem, potem pszczółką,  
potem może krasnoludkiem...

Mama rzekła z wielkim smutkiem:

— Rzeczywiście, wielka szkoda,  
że na czary przeszła moda,  
bo dziśbym cię, córusz miła,  
jaskółeczką zobaczyła.

Jaskółeczka od świtania  
za robotą się ugania:  
łapie muszki, gniazdko lepi  
i myśli, że tak najlepiej.

Ledwie błysnie rankiem słonko  
nad ogrodem i nad łąką,  
leci pszczółka robotnica,  
lecz nie wiosna ją zachwyca,  
tylko praca, praca, praca!  
Ul i łąka — leci, wraça,  
od wschodu aż po wieczór wkółko.  
Och, ciężko pracujesz, pszczółko!

Nigdy jednak nie słyszeli  
ludzie nic o nudach pszczelich.  
Jeżeli jakiś czarodziej  
gdzieś po wielkim świecie chodzi,  
czy w Paryżu, czy w Kiernozi,  
na biegunie, gdzie wciąż mrozi,  
na równiku, gdzie wciąż pali,  
czy w Kanadzie, czy w Somali,  
poszłabym go rada znaleźć.  
Nie dalby się, myślę, prosić:  
szach-mach łaską — niema Zosi.  
Zaczarowałby cię w różę,  
kazał kwitnąć jak najdłużej.  
Cóż nam więcej da radości  
tak najmilej i najprościej,  
niż kwiat barwą swą i wonią?  
Nawet źli od róż nie stronią.  
A ty, mały krasnoludku,  
czy wiesz coś o nudzie, smutku?  
Z weselości wielkiej słyniesz,  
choć nie byłeś nigdy w kinie,  
nie masz książek, ani lalek,  
a czujesz się doskonale.  
Od najstarszych nigdy ludzi  
nie słyszałam, byś się nudził.  
Każda bajka głosi jedno:  
pracowitość niepowszednią.  
Zawsze doła twa jednaka:  
od biedaka do biedaka,  
tutaj pomoc, tam opieka,  
gdy ktoś płacze lub narzeka...  
Zosia sens tych słów przenika.  
Nie potrzeba czarownika.  
Serduszko jej mocno bije,  
rzuca się mamie na szyję  
i woła z wesolą minką:  
— Mamuś, chcę zostać dziewczynką!  
Czy też zgadnąć się wam uda,  
komu wciąż dokucza nuda?

Z. Krzepkowska.

## M ą D R A L E K.

Wszystko na pewno skończyłoby się zupełnie inaczej i Mądralek nie zostałby nigdy Mądralkiem, lecz przez całe swoje życie byłby „Kropką”, gdyby?... To „gdyby” jest właśnie bardzo smutne, a nawet tragiczne, lecz muszę o niem mówić, chcąc dać dokładny portrecik Mądralka.

Było to na wsi, gdzie, zwłaszcza wieczorem, węszą wszędzie spuszczone psy i ze szczególną zajadłością polują na śliczne, biedne, nic im niewinne koty.

Pewnego też wieczora rozszarpały naszą Wąsatkę, starą i kochaną przyjaciółkę. Wąsatka była już niemłoda i miała chorą przednią łapkę, którą uszkodził jej w walce jakiś wojowniczy szczur, więc od

Mądralek z każdym tygodniem stawał się większy i mądrzejszy. Prędko też przestał być malutkim, rozkosznym koteczkiem, lecz wyrósł na dorosłego i poważnego kota; często wychodził na polowania, a z nami bawił się tylko podczas słotnych i zimnych dni. Wtedy z wielką przyjemnością odpowiadał na nasze pytanie: „Mądralek, czy chcesz mleczka?” lub „Mądralek, czy nas kochasz?” — „Mrrr... Mrrr...”.

*Stawa Odrowążówna.*

7)

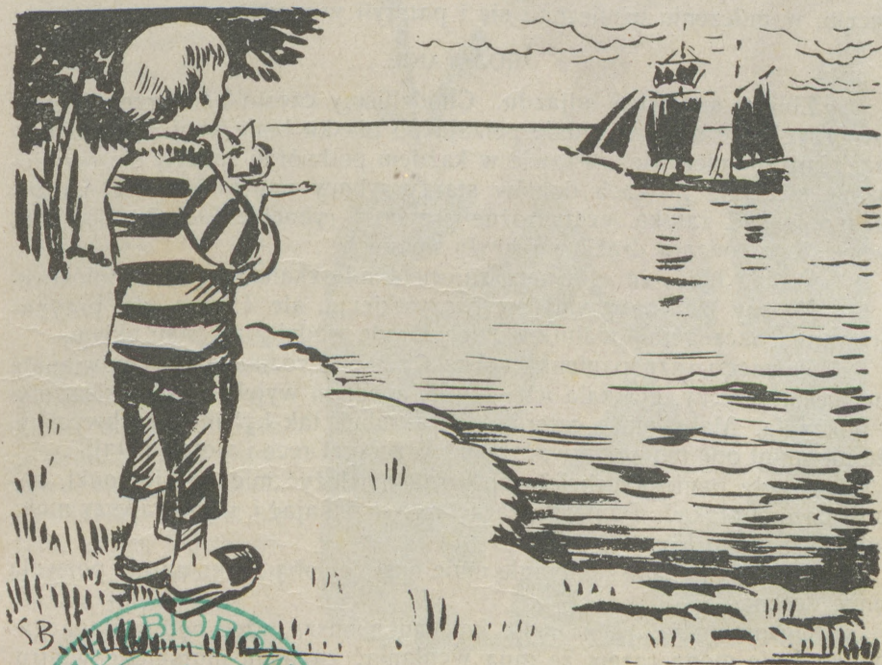
## PRZYGODY LALECZKI.

*Napisata Zofja Lepecka.*

Dokończenie.

Do słomy poprzczepiały się najrozmaitsze rośliny, w które wplątały się śliczne muszelki. Nie takie, jak spotyka się nad rzeką: okrągłe, zwinięte w kłębuszek, ale biało-różowe, płaskie, podobne do wielkich muszli morskich. Nareszcie wyciągnęli sieć. Ile tam ryb się trzepotało! Same flondry. Zaczęli pokolei wyjmować je z sieci i kłaść do siatkowego worka. Wśród flonder zaplątały się małe piskorze. Miały długości około 10—15 centymetrów, cienkie i okrągłe, podobne do wielkich pijawek, tylko o wiele od nich milsze. Żeby nie zmarnowały się i rosty, rybacy wrzucili je do zatoki. Bo były to malutkie dzieci - piskorze.

Ale piskorze to można spotkać i w rzece i w jeziorze. Rybacy



... mały Staszek ciągle mnie nosi ze sobą...



na dnie sieci znaleźli coś ciekawszego. Był to potworek morski. Nazwali go kurem. Była to też mała, młoda rybka, ale bardzo cudaczna. Głowę miała wielką i taką paszczę „od ucha do ucha”, jak powiedzieliby ludzie o takim chłopcu, któryby miał bardzo szerokie usta. Ale każdy kur od urodzenia miał szeroką paszczę i wybałuszone oczy. Nie był podobny do żadnej rybki, widzianej przeze mnie. I tego potwornego kura też rybacy wrzucili w wodę: „Niech rośnie!”. Kilka godzin już tak krążyli po zatoce. Słońce podnosiło się coraz wyżej, ale w łodzi było chłodno. Ciągnęło od wody. Było tak ślicznie, że nie można było się dość napiatrzyć. Niewiadomo, czy patrzeć na wodę, która kołysała się, marszczyła i zmieniała swoje barwy na coraz to inny kolor, żywo mieniący się w słońcu, czy na niebo, takie błękitne, bez chmurki, czy na rybaków, którzy okryli się skórzanymi fartuchami, żeby nie przemoczyła im woda ubrania, jak będą sieć wyciągać, czy na flondry, trzepiące się w worku, czy na dno łodzi, na którym zawsze można było znaleźć muszelkę lub zapomnianą maleńką rybkę, czy też na żagle zwinięte i leżące teraz w łodzi?

Można też było zamknąć oczy i nastawić czoło, żeby wiatr pachnący, morski figłował na skroniach. Ale rybacy powiedzieli, że kończą rybolostwo. Tak oni tam nazywają rybołówstwo. Naliczyli już sto ryb. Część mieli sprzedać, a część zanieść żonom i dzieciom.

Rozwinęli żagle. Sami usiedli na brzegu łodzi i, zapaliwszy fajeczki, w milczeniu uśmiechali się i patrzyli w wodę.

#### ROZSTANIE.

Zbliżał się dzień odjazdu. Chodziliśmy często nad brzeg morza, by przyglądać się, jak ładnie pełzają po piasku białe pianki fal. Zwiedzaliśmy również wieś. Prawie w każdym podwórzu suszyły się rozwieszane sieci, na progach domów starzy rybacy naprawiali sieci uszkodzone, a nad zatoką leżały różne przybory rybackie: łodzie, beczki, wszelkiego rodzaju drążki i suszyły się sieci.

Widać było, że głównym zajęciem mieszkańców jest rybołówstwo.

Myśmy przypatrywali się wszystkiemu, ale i nam się przypatrywano. Szczególnie małe dzieci ciągle wodziły za nami okiem.

Pewnego razu paniąka zaczęła z niemi rozmawiać. Opowiadała im wesołe rzeczy, głaskała ich główki, a potem wyjęła mnie z kieszonki i pokazała. Mały, może czteroletni Kaszubek tak był mną zachwycony, że nie mógł ode mnie oderwać oczu. Wyciągał ręce i wołał: „Daj!”.

A gdy paniąka chciała zpowrotem włożyć mię do kieszonki, zaczął bardzo płakać. Paniąka zaczęła go uspakając i, ucałowawszy mnie, oddała małemu Kaszubkowi.

Teraz mały Staszek ciągle mnie nosi ze sobą i nikomu nie pozwala mnie dotknąć.

Ogromnie żałuję, że moje koleżanki muszą leżeć pod szklaną gablotką i nie mogą razem ze mną wchłaniać zapachu morskiego wiatru.

## 2) „CZY WIDZICIE DYM OKOŁO KAPUNDY?...”

Dokończenie.

Nie wiedział mały Kai, że w tem miejscu, w którym tańczy, zerował przed przybyciem Narrinierów lirogon. Lirogon ma wysokie, mocne pazurzate nogi i prosty dziób, którym dobywa robaki z ziemi. Lirogon rozkopał szeroką, głęboką jamę. Kai potknął się i przewrócił. Kai padł na ziemię, jak długi i tylko jedna, rozpaczliwie machająca noga, pęczkiem zielonych liści ozdobiona w kostce, wystawała ponad szyny.

Wysokiej gałęzi uczepiona, czarnopióra papuga kakadu zaskrzęczała głośno i przenikliwie, jak ochrypta trąbka samochodu.

Zadrżała ziemia, a cwałujący ponad szynami ostry, przeciągły gwizd przeciął powietrze.

Narrinierzy spojrzeli wdał, w stronę zachodzącego za eukaliptusami słońca. Po szynach pędził pociąg.

Narrinierzy nie lubią pracować nad budową drogi żelaznej, nie lubią układać szyn; Narrinierzy nie wiedzą, co to jest maszyna, co to huty żelazne, co to jest siła pary. Narrinierzy zwinni są i silni, dzielnie władają włócznią i bumerangiem. Ale nie wiedzą, na czym polega walka białego człowieka z przyrodą. I dlatego pierzchają na widok pędzącego pociągu i w popłochu chowają się poza grubemi pniami australijskich drzew.

Pociąg zbliżał się. Tryskając parą, stukocząc dwiema setkami żelaznych kół, przemknął obok ogniska i, cichnąc z chwili na chwilę, oddalał się tam, gdzie, ledwo widoczne, wznosi się miasto Kapunda.

Narrinierzy powyłazili z poza drzew, zebrałi się wokół dog-



Kai tańczy.





A było to tak: kiedy Kai, nie mogąc wydostać się z wykopanej przez lirogona jamy, ujrzał nagle zbliżający się szybko parowóz, położył się we wnętrzu jamy między szynami, przytulił się do ziemi i tak trwał nieruchomy a drżący z przerażenia. Ale potwór, który się zbliżał, nie dojrzał trwogi w jego oczach, Kai starał się przekrzywić grzmiący stukot pociągu wojowniczą pieśnią:

Przebiję twe czoło.  
Przebiję twą pierś.  
Przebiję twoje serce.  
Połamię twoje ramiona.  
Połamię twoje biodra.  
Połamię twoje zębra.

Przetoczyła się wielka lokomotywa i osypała Kaięgo deszczem gorącego, z rusztów wyrzuconego popiołu. Z lewej i z prawej strony toczyły się rzędy kół, a, tuż nad nim sunęły w pędzie wielkim żelazne podwozia wagonów. Daleko był pociąg, być może, iż przybył już do Kapundy, gdy Kai odważył się unieść wyżej głowę. Kai sądził, że pociąg przeląkł się jego wojowniczej pieśni, jego grózb — i uciekł. Ciepły



...sądził, że pociąg przeląkł się jego wojowniczej pieśni...

wiatr, wiejący od zatoki Św. Wincentego, rozwiął resztki dymu, którym lokomotywa zasnuła niebo. Zabłyły gwiazdy.

Świeci jasno Krzyż Południowy, cztery gwiazdy, których na naszej części nieba nigdy nie widać. Jaśnieje Droga Mleczna, którą w jednym miejscu przesłania czarna, daleka chmura nieznannej materji. Żeglarze nazwali ją „workiem węgla”, choć ma kształt gruszki, a jest tak wielka, że pojąć trudno. Ale Kai i jego australijscy bracia wierzą, że owa ciemna masa to wcielenie zła w postaci emu, nowoholandskiego strusia, który czyha na kryjącego się wśród drzew dydelfa, chcąc go pochwycić, tak, jak ów pędzący żelazny pociąg schwytać chciał Kai'ego. Kai wygrzebał się z jamy — i ruszył w stronę ogniska.

— Iiah! Iiah! Kai! — zagrzmiały okrzyki zdumienia.

— Skądś się wziął znów pomiędzy nami, Kai? — pytali młodzi.

— Myśleliśmy, że duch twój jest już w krainie, w której kryje się wieczorne słońce, a z której nikt nie powraca! — zawodzili starzy.

— Iiah! Abang! Abang! Iiah! O, Kai! — wołali w zdumieniu i radości.

Naszego brata — Kai!

Widzimy znowu!

Naszego syna — Kai!

Abang!!!

Widzimy znowu!

Śpiewali i tańczyli wokół ocalonego.

Kiedy niepodtrzymywane ognisko wygasło, wzięli Kai'ego na ręce i ruszyli w stronę wsi. A po drodze opowiadać sobie kazali, „jak to było”.

— Siedzą w nim biali ludzie, widzieliśmy ich przez przezroczystą skórę między żebrami. A czy ty ich widziałeś? — pytali.

— Nie, — mówił Kai — nie widziałem.

— A czy on żyje? — zapytał naczelnik plemienia.

— Nie wiem — odpowiedział Kai.

— Pewnie nie żyje... — mówili młodzi Narrinierzy.

— Jakże nie żyje, kiedy pędzi! — tłumaczyli starzy.

— A kamień strącony z góry nie toczy się, nie pędzi? — mówili młodzi.

— Ale on pędził po równej drodze, on żyje! — twierdzili starzy.

— Może widziałeś jego serce? — pytali Kai'ego.

— Nie, nie widziałem jego serca — odpowiedział.

— Więc może widziałeś jego nogi?

— Nie, nie widziałem jego nóg — rzekł Kai.

— Byłeś najbliżej, powiedz nam, w jaki sposób biegł? — prosili.

— Nie wiem... — mówił Kai. — On miał wiele kręcących się kół... Może to biali ludzie, którzy siedzieli w nim, może to biali ludzie obracali kołami?...

— Pooh! — zawołali starzy Narrinierzy z pogardą. — Cóż za sposób! Pooh! Ale pewnie tak jest, jak mówisz!

— Pewnie tak jest, jak mówisz! — wołali młodzi, podrzucając Kai'ego wysoko w górę.

— Pewnie tak jest, jak mówisz, abang!

Pewnie tak jest! Abang! Abang! — śpiewali, idąc pośród krzewów i dziwnokształtnych australijskich drzew przez równinę. Ucieka przed nimi złotopióry ptak rajski, ucieka lirogon, zwierzęta usuwają się z drogi. A Narrinierzy idą, podskakując wesolo i śpiewają. Narrinierzy śpiewają zawsze — kiedy są smutni i kiedy są weseli, gdy głód im douczca i kiedy najedzą się tłustem mięsem kangura. Narrinierzy lubią swobodę lasów, śpiew, taniec i polowania. I mały śpiewający i tańczący czarny Kai nie wie, co to jest pociąg, mały Kai nie wie, co to maszyna, co to hutę żelazne, co to jest siła pary. Mały Kai zwinny jest i silny, dzielnie włada włócznią i bumerangiem. Ale mały brązowy Kai nie wie, na czym polega walka białego człowieka z przyrodą.

Stefan Themerson.

### K L U C Z Y K .

Zbudzonych muszek dzwoni  
muzyka,  
wiosna pierwiosnką ziemię  
odmyka,  
żółty kwiatusek w rękę jej tkwi,  
maleńki kluczyk do wielkich  
drzwi.

Wiosna powoli dźwierze odchyła  
i — już pierwszego widać motyla,  
a uwolniony ze śniegu, tam  
spływa po wzgórzach ozimin  
błam.

Wiosna twóć wszelki wóla  
do pracy:  
śpieszą owady, ziola i ptacy,  
rzęsisty deszczyk, ciepłutki wiatr  
pomaga wiosnie wesół i rad.

Na dywan łąki, w zimie spłowiaty,  
idą stokrotki, idą podbiały.  
Cięż popod lasem wiosny się zląkł  
i ściele prędko przylaszczek krąg.

Nad rdzę mokradel wznoszą  
kaczące  
bukiety złote, promienne wieńce.  
Trawą okrywa się rzeczny muł,  
na iwach brzęczy tysiące pszczół.  
Radością ludzkich śledzony oczu  
skowronek śpiewa w nieba  
przezroczu,  
a za potokiem, po między skraj,  
śpiewa tak samo i las i gaj.  
Ludzie ochoczo idą na pola,  
pachnie im wietrzyk, wonieje rola,  
a świeżej skiby brunatny pług  
brona już równa. Szczęś-że wam  
Bóg!

I, gdy tak ziemię wiosna odmyka,  
przyda się może moja motyka,  
me dobre chęci i ręce dwie.  
Wiosno, do pracy weź-że i mnie!  
M. CZERKAWSKA.



4)

## NOWA ARKA NOEGO.

*Napisał Mieczysław Krzepakowski.*

Pan Rowiński zwrócił się wtedy do kapitana:

— Jestem Polakiem, znam dobrze swój kraj... Najlepiej będzie, jeśli postaramy się najpierw zbadać, czy istnieje na ziemi choć ślad życia i możliwość otrzymania żywności. Jeśli taka wielka gromada ludzi znajdzie się na opustoszałym lądzie, będzie to dla większości nieszczęściem. Nie można ich pozostawiać bez dachu nad głową i bez kierownictwa... Jestem inżynierem... Na statku zapewne znajduje się jakiś samochód. Zobowiązuję się w przeciągu możliwie najkrótszego czasu z pomocą mechaników okrętowych zbudować mały samolot i dokonać na nim wywiadu...

Kapitan milczał chwilę, bacznie patrząc na pana Rowińskiego.

— Ma pan słuszość — powiedział wreszcie. — Natychmiast wydam odpowiednie polecenie, by paru mechaników było do pana rozporządzenia. Przytem niech pan dołoży wszelkich starań, by swe zamierzenie wykonać jak najprędzej. Za kilka dni grozi nam śmierć głodowa mimo uszczuplenia racji żywności do minimum.

Sprawa przerobienia samochodu na samolot nie była łatwa. „Splendid” przewoził piękny i silny samochód bogatego Amerykanina Richarda, który właśnie wybrał się na wycieczkę po Europie, ale przerobienie motoru wymagało umiejętności i pracy. Mimo to, pan Rowiński zakrzętnął się energicznie przy nim. Amerykanin nie miał nic przeciwko temu, by samochód jego uległ zniszczeniu.

— I tak odwołałem wycieczkę — powiedział z powagą.

Z wielkimi trudnościami samochód był wyładowany na brzeg, gdzie pan Rowiński urządził sobie prymitywny warsztat mechaniczny.

Po trzech dniach wytężonej pracy na brzegu wyciągnęła skrzydła dziwna awionetka, łańcuch z najrozmaitszych materiałów. Ale pan Rowiński był dumny z niej.

Ucałował serdecznie żonę i synka i zasiadł w samolocie.

Pani Rowińska nie mogła powstrzymać się od obaw.

— Tolku, — mówiła — przecież lot na takim samolocie grozi ci śmiercią!

Ale pan Rowiński już kazał „zapuścić” śmigie i terkot motoru zagłuszył słowa spłakanej kobiety.

Po chwili samolot drgnął i potoczył się na samochodowych kołach po nierównym gruncie.

Jeszcze chwila, a koła oderwały się od ziemi i, zegnany wymachaniem rąk licznie zebranych pasażerów, lotnik wzbił się w powietrze.

Nastąpiły nieznośne godziny oczekiwania. Pan Rowiński zabrał ze sobą benzyny na 10 godzin lotu, spodziewano się go więc najdalej po tym czasie. To też nikt nie chciał wracać na okręt, by wrazie powrotu pana Rowińskiego jak najszybciej się dowiedzieć, co widział.



...na brzegu wyciągnęła skrzydła dziwaczna awionetka...

Dzień był pogodny, słoneczny. Od morza wiał wiatr, odganiając w głąb lądu wzywey nieznośne. Grupki ludzi stały, lub siedziały na ziemi, rozmawiając ze sobą z ożywieniem, jakie budzi zawsze nadzieja.

— Jestem przekonany — mówił Hiszpan, — że pan Rowiński sprowadzi całą eskadrę polskich samolotów... Ja słyszałem, że to dzielni lotnicy...

— A wślad przyjadą ciężarowe samochody, naładowane żywnością — oblizywał wargi gruby mężczyzna. — Nie do wytrzymania są te kawałeczki konserw, które mają służyć na całodzienne pożywienie!

— Nie wiem, czy on daleko doleci na takim samolocie — kiwał głową wysoki, szczupły Anglik. — Dzielny człowiek, że odważył się na lot na czemś podobnem, ale to jest lekkomyślność, którą płaci się życiem...

— Niech pan tak nie wróży! — oburzył się jakiś Francuz. — Ludziom odważnym sprzyja szczęście!

Pan Rowiński odleciał o godzinie szóstej rano, spodziewano go się więc najpóźniej około trzeciej po południu. Tymczasem minęła godzina czwarta, piąta, szósta, a samolotu nie było widać. Pani Rowińska była coraz bardziej zaniepokojona.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

# JAK CIEKAWA MAŁPKA ZOSTAŁA UKARANA



37)

## TAJEMNICA HOGGARU.

*Napisał L. Życki-Malachowski.*

Nareszcie dostarczono odpowiedniego drzewa i można było zbudować wygodną łódkę, mającą posłużyć do zapuszczania się dalej w głąb tajemniczych jaskiń. Łódkę spuszczone na wodę i poczęto ją naładowywać instrumentami mierniczymi i zapasami żywności, gdyż wujaszek nie wiedział, jak długo może potrwać ich pobyt w jaskiniach. Telesforek prócz tego zabrał „na wszelki wypadek” swój szybkostrzelny karabinek. Wujaszek ze względu na niezmierną szybkość prądu postanowił opuścić się na linie, która nawinięta na dużym drewnianym bloku, miała być stopniowo na rozkaz rozwijana. Jako środek porozumiewawczy miała służyć instalacja telefoniczna, rozwijana wraz z liną.

Telesforek, nie mogąc się doczekać, aż wujaszek uczepli linę do łodzi, skoczył do chwiejnego korabia, stracił równowagę i padł na dno łodzi z okrzykiem. Wujaszek, nie wiedząc, co się stało, a przypuszczając, że chłopiec wpadł do wody, rzucił mu się na ratunek, wypuszczając linę z ręki. Lecz nie zdążył jeszcze spostrzec swej omyłki, gdy pozostawiona sobie łódź popłynęła nagle, porwana bystrym prądem.

Rozległy się trwożne okrzyki, ale rzecz była nie do naprawienia, gdyż Telesforek gnał w nieznaną i ciemną otchłań z szybkością samochodu. O wyskoczeniu wobec tak silnego prądu nawet mowy nie było, więc chłopiec musiał się poddać nieznanemu losowi i ze strachem pędzić naprzód.

Ciemność otoczyła go zewsząd i okrzyki zostawionych na brzegu dochodziły go coraz słabiej, aż wreszcie ucichły.

Po kwadransie mniej więcej takiej podróży prąd nagle zmałał i naraz rozległy się z prawej strony jakieś okrzyki i jaskinia rozwidniła się. Telesforkowi zdawało się przez chwilę, że przez jakiś dziwny kaprys rzeka zrobiła koło i oto jest znów przy swoich. Lecz podniósłszy głowę i rozejrzawszy się wokół, ujrzał, że się mylił. Łódź znajdowała się na powierzchni wielkiego, podziemnego jeziora. Słaby prąd skrzył ku brzegowi i wyrzucił łódź na łagodny piaszczysty brzeg. Nad tym brzegiem, na wysokości około kilku metrów widniało jakgdyby wielkie okno, przez które wlewało się obficie światło słoneczne. W oknie tem, ku przerażeniu chłopca, pojawiły się jakieś nagie i zarośnięte postacie i poczęły opuszczać się ku brzegowi jeziora.

Przerażony Telesforek przypomniatł sobie o karabinie i, schwywszy go kurczowo, zawołał po francusku, nie troszcząc się, czy go kto zrozumie: — Ani kroku dalej, bo kula w łeb!

Przerażone nie tyle słowami, ile gestem postacie, uciekły szybko poza skalne okno i po chwili niejakię ukazała się w niem siwowłosa głowa, niemniej zarośnięta, niż inne oraz ręka powiewająca przyjaźnie zieloną gałązką palmową. Zaś głos, o miłym dźwięku, zawołał po francusku:

— Nie bój się, chłopcze, my też jesteśmy ofiarami „czcicieli wody”.

— Czycieli wody już niema — zawołał dumnie chłopiec, ochłównawszy z trwogi. — Teraz mój ojciec i wujaszek budują tu stacje pomp dla nawodnienia Sahary.

— Co mówisz, chłopcze, czy ja śnię? Więc i my możemy jeszcze stać się wolnymi?

— Bez wątplenia.

— Więc odłóż broń i nie obawiaj się nas. My jesteśmy ofiarami okrutnej sekty, która corocznie wrzucała do rzeki podziemnej jednego człowieka, by uczcić w ten sposób świętą rzekę. Lecz nie wiedzieli oni, że rzeka owa nie chce porywać ludzi i wyrzuca ich, żywych jeszcze na ten piaszczysty brzeg.

— A dlaczego nie uciekliście stąd?

— Wyjdź, chłopcze, na brzeg i sam ujrzysz, dlaczego.

Telesforek, nie wahając się już więcej, wyskoczył na brzeg i wyciągnął nań swą łódź. Następnie wspiął się po kamiennych stopniach do owego okna skalnego i spojrzął. Przed jego oczami rozciągała się niewielka dolinka, otoczona prawie prostopadłymi i gładkimi skałami, które stanowiły niby cembrowinę owej przeogromnej studni z dolinką, jako dnem. Rosły w niej rozłożyste palmy daktylowe a pod ich cieniem krzewiła się bujna roślinność. Kilkanaście osób różnego wieku, nagich lub ubranych w plecionki z włókna palm, stanowiło zaludnienie tej niezwykłej studni.

— Nazywam się Gaston Durand — rzekł starzec — i jestem pierwszym Europejczykiem, który dotarł do tej rzeki. Stało się to około trzydziestu lat temu. Znajdowałem się wówczas w gościnie u mego szwagra, wodza Tuaregów Ahammuka Ag Ihemmy.

— Znam go — wtrącił chłopiec.

— Więc jeszcze żyje? Nie dosięgła go zemsta Nazira?

Chłopiec opowiedział o całym przebiegu zdarzeń, poczynając od odkrycia przez Alego tajemnicy jaskiń, aż do swej wyprawy. Durand słuchał, wydając okrzyki zdziwienia i podnosząc ręce. Gdy Telesforek doszedł w swej opowieści do końcowego epizodu z Nazirem, Durand chwycił się za głowę i począł gorączkowo coś opowiadać w jakimś nieznanym języku otaczającym ich mieszkańcom doliny.

— Chłopcze — rzekł, zwracając się do Telesforka, — przypłynął on tu cały i zdrowy i myśmy, nie poznawszy go, pośpieszyli mu na ratunek. Lecz jakie było nasze zdumienie, gdy ten starzec, ujrawszy nas, wydał okrzyk trwogi i począł w panicznym strachu cofać się do wody, aż wpadł w głębinę i już więcej na powierzchnię nie wypłynął.

— Widocznie przypuszczał, że zetknął się oko w oko z duchami swych ofiar — zauważył chłopiec.

— Dlaczego jednak Nazir miałby się mścić na szeiku?

— Nazir, mój chłopcze, mianował się swego czasu moim przyjacielem i starał się o rękę mej siostry, której byłem jedynym opiekunem. Jednakże odmówiłem mu, gdyż siostrze przypadł ogromnie do gustu młody i rycerski amenokał Tuaregów, Ahammuk, niecierpiąca zaś Nazira, który miał fałszywy i podstępny charakter. Nazir był srodze dotknięty





Fot. J. Ryś.

PANI DYR. ŻABIŃSKA Z WYCHOWANEMI PRZEZ SIEBIE RYSIAMI.

## WIECZORNY KONCERT MAJOWY.

Obrazek sceniczny ze śpiewami.

Napisata Zofja Sokolowska.

Osoby: SOLIŚCI — Bocian. Derkacz. Sowa. Słowik.

CHÓRY — Żaby Melancholiczki. Żaby Wesółki. Chrabąszcze. Wieśniacy.

BOCIAN na gnieździe.

Kle, kle, kle, kle!

Będzie dobrze, było źle;  
nim jesienny przyjdzie chłód,  
wychowam bociani ród,  
a teraz dobranoc śle,  
kle, kle, kle, kle!

CHÓR ŻAB MELANCHOLICZEK.

Kum, kum, kum, kum, kum, kum!  
Słuchajcie naszych smętnych dum:  
żaby podnoszą skargi głos,  
żałą się na swój straszny los,  
nim która zdąży w wodę chlup!  
Bocian ją porwie w ostry dziób.  
Kum, kum, kum, kum, kum, kum!

CHÓR ŻAB WESÓLKÓW.

Rade rade rade rade rad!  
Pełen radości jest ten świat.  
Ach! jak to dobrze zabą być!  
Ach! jak to miło w błocie żyć!  
Rade rade rade, rade rad!

DERKACZ.

Der der der der der der!  
Byle tylko był źer!  
Alboż ja o resztę dbam?  
Derkacz żyje zawsze sam.  
Der der der der der der!

CHÓR CHRABĄSZCZY, lecąc z szelstem.

Sz sz sz sz sz sz!  
Robimy ogromny szum,  
jest nas bowiem wielki tłum,  
dla chrabąszczy miesiąc maj to raj!  
Sz sz sz sz sz sz!

SOWA.

Uhum uhum uhum uhum!  
Śpiewam, co mam w piersiach tchu,  
lecz daremny jest mój trud,  
sów nie kocha ludzki ród.  
Uhum uhum uhum uhum!

SŁOWIK.

Tiii tii cit cit cit trr tiii tii!  
Księżyc natchnienie daje mi,  
gdy nastał cudny miesiąc maj,  
pieśnią słowika zabrzmiał gaj.  
Tiii tii cit cit cit trr tiii tii!

CHÓR WIEŚNIAKÓW pod krzyżem.  
Zdrowaś Maryja Bogarodzico,  
błagamy Ciebie, Święta Dziewico,  
niech łaska Twoja zawsze nam sprzyja,  
módl się za nami, Zdrowaś Maryja.

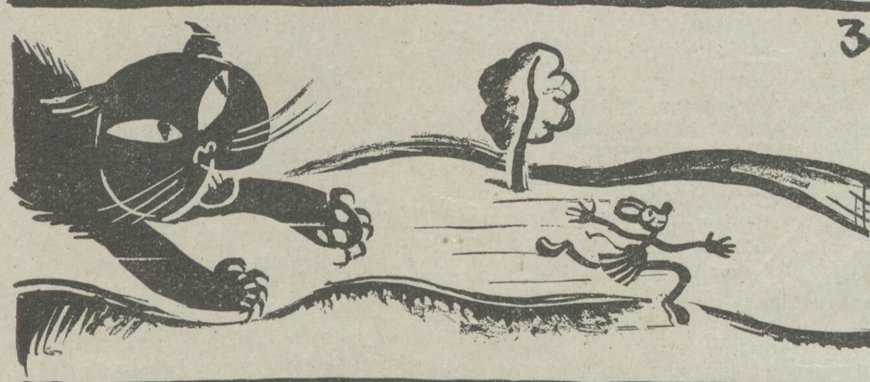
## GOŚCIE.

*Sroczka skrzekce na płocie,  
jadą do nas goście,  
kareta cała w złocie  
toczy się po moście.  
Grają, grają grajkowie  
po polu, po lesie,  
echo dzwoni w dąbrowie,  
wiatr muzykę niesie.  
Wyjrzyj, córuś, z za chaty,  
kto to jest na przedzie?*

— *To ubrany w bzów kwiaty  
królewicz Maj jedzie.  
— Córúś moja, gdzie goście?  
Nie widać ni śladu. —  
— Przejechali po moście  
do naszego sadu.  
Już, matusiu, po sadzie  
Maj królewicz chodzi,  
wianki jabłonom kładzie  
i słoneczko wodzi.*

WANDA MALICKA.

HISTORYJKA W OBRAZKACH  
 O MUZYKALNEJ MYSZCE, KTÓREJ O MAŁO CO NIE  
 SCHWYTAŁ MRUCZEK.



# Dział rozrywek.

REBUS.



## ZAGADKA 1.

Ułożyła Z. S.

Zagadcz, jak kura pełna radości,  
potem zasycz, jak gęś, gdy się złości,  
wielkie orzechy złożysz z tego:  
są pochodzenia południowego.

## ZAGADKA 2.

Ułożyła A. S.

Czy znasz drzewa, które stoją  
zawsze w rzędzie, nie w nieladzie,  
często widzisz je przy drodze,  
lecz nie ujrzysz nigdzie w sadzie.  
Choć owoców nie wydają,  
służą ludziom dla wygody.  
Dowiedz o nich się i w szkole  
na lekcji przyrody.

## PROSTY RACHUNEK.

Ułożył J. M.

Pewna wieśniaczkaniosła na targ jajka. Przez nieuwagę potknęła się i, padając, potłukła wszystkie. Gdy ją sąsiadka spytała, ile jej straciła, odrzekła:

— Oj, nie wiem kumo, nie liczyłam. Pamiętam ino, że Czubatka zniosła tyle, co Pstrokatka i Jarzębatka razem. Ale, ale!... Pamiętam i to, kumo, że tych jajek od Jarzębatki była akuratnie trzecia część wszystkich.

Ile było jajek od każdej z trzech kur?

## HALLO! TU MÓWI DO WAS RADJO!

Dzisiejszy (17.V g. 15.35) program rozpocznie wesoły obrazek p. t. „*Piotruś i Cyferki*”, dzięki któremu młodsze dzieci będą miały możliwość zawarcia miłej i pożytecznej znajomości z... cyferkami. W drugiej części audycji będzie baśń-pogadanka p. t. „*Cudowne skrzypce*”, osnuta dokoła obrazów znakomitego malarza, Chełmońskiego, o którym większość dzieci zapewne słyszała.

We czwartek (18.V g. 12.35) — *poranek muzyczny* dla młodzieży.

W sobotę (20.V) o g. 13.15 — „*audycja szkolna*” ze Lwowa — po południu o g. 15.35 odezwie się radiostacja krakowska, która nada b. ładne słuchowisko p. t. „*Król-Kumem*”. Powiem Wam w sekrecie, że „królem-kumem” będzie to król Kazimierz Wielki.

Niedzielnym (21.V g. 16.00) program oprócz stałej pogawędki dla starszej młodzieży na temat „*Co się dzieje na świecie*” zawierac będzie opowiadanie p. t. „*Ulicznicy*”, które nadane będzie przez Lwów.

DO ADAMA MICHAŁE WE LWOWIE. Czy teraz już nie ginie na poczcie Twój „Płomyk”? Bardzo dowcipne te żarciki, które nam przysłałeś. Czyjego są pomysłu?

DO KOŁA MŁODZIEŻY CZERWONEGO KRZYŻA W STANISŁAWOWIE. To dobrze, że ptaszki mają w Was takich troskliwych i serdecznych opiekunów. Za fotografię dziękujemy, ale niestety za drobna jest dla „Płomyka”.

DO REDAKCJI „STRAŻY NAD HORYNIEM”. Jak Wam idzie robota? Czy zadowolony są z pisma czytelnicy?

Dziękujemy za pamięć RYSZARDOWI GŁODKOWI, MICHAŁOWI GOLDENBERGOWI, GENI AGIEJCZYKÓWNI, JANECCZE GWOŹDZIKÓWNI, ZUCHOM ZE SZKOŁY POWSZ. W OSOWCU-TWIERDZY, DANUSI PAWŁOWICZÓWNI.

DO ZOSI DĄBROWSKIEJ W STAROSIELCACH. Czy na Święta Wielkanocne urządziliście jaką uroczystość w szkole? Jak wykorzystałaś wolne dni świąteczne?

ZDZICH SADOWSKI, który mieszka we wsi RZECHTA, POCZTA DOBRA KOŁO TURKA, chciałby korespondować z rówieśnikiem, zamieszkałym w górach lub nad morzem, a prócz tego z chłopcem, mieszkającym zagranicą. Zdzych ma 12 lat, ma trzyletnią siostrzyczkę, hoduje króliki, zbiera i oprawia „Płomyk”.

DO WYCHOWANEK DOMU OP. MATKI BOŻEJ W WILNIE. Wielką przyjemność sprawił nam Wasz list, tak ładnie napisany i pełen wiadomości. Nie zrażajcie się, że tak długo czekałyście na odpowiedź, a piszcie do nas, ile razy będziecie chęć, o tem, co dzieje się u Was w domu, o Waszych pracach i zabawach. Pokłonicie się pięknie kochanym Waszym matkom.

DO JANKA DUTKIEWICZA W CHAPLU WIELKIEM. Radzi byliśmy, że się tak udało przedstawienie amatorskie. Fotografii jednak nie przysyłał, stale brak nam miejsca w „Płomyku”.

WŁADYSŁAW KOWALKOWSKI zam. w WARSZAWIE, ul. LUBECKIEGO 19 m. 10, jest zapalonym filatelistą i chciałby zawiązać korespondencję z czytelnikami „Płomyka” w kraju i zagranicą, którzy również jak i on interesują się zbieraniem marek pocztowych.

DO NUSI DIMANTÓWNY W WARSZAWIE. Naturalnie, że ociemniałe dzieci nie mogą oglądać obrazków, ale mają one wiele radości z opowiadań i wierszyków „Płomyka” i „Płomyczka”. Czy uważnie czytałaś artykuł „Płomyka” o dzieciach niewidomych w Laskach?



WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33:

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18. Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Kocia mama

DTN  
KATYŃ  
KAROLINA  
KAROLINA